

A high-contrast, black and white photograph showing the lower half of a person walking away from the camera on a cobblestone path. The person is in silhouette, and a long, dark shadow is cast on the ground to their right. The lighting is dramatic, creating deep shadows and bright highlights on the cobblestones.

**JAMES
PATTERSON**

ALEX CROSS
MUSI ZGINAĆ

1

Nie co dzień zdarza mi się, by drzwi, do których pukam, otworzyła naga dziewczyna.

Dla jasności: pilnuję prawa od dwudziestu lat i takie sytuacje, owszem, bywały. Ale niezbyt często.

– Kelnerzy? – zapytała. Spojrzenie miała jasne, lecz puste. To musiało być ecstasy, zresztą zapach ziela płynął z wnętrza pokoju. Była i muzyka, owo bezlitośnie dudniące techno, które, gdybym musiał tego dłużej słuchać, jak nic pchnęłoby mnie do podcięcia sobie żył.

– Nie, to nie kelnerzy – odparłem, pokazując jej odznakę.
– Policja metropolitalna, a ty włóż coś na siebie, i to raz-dwa.
Ani trochę jej to nie spieszyło.

– Bo mieli przyjść – rzuciła, nie zwracając się do nikogo w szczególności. Jej słowa zasmuciły mnie i zniesmaczyły zarazem. Dziewczyna wyglądała na taką, co nie skończyła jeszcze liceum, a my przyszliśmy aresztować mężczyznę, który mógł być jej ojcem.

– Przeszukaj jej ubrania, zanim je włoży – zwróciłem się do jednej z policjantek. Oprócz mnie było pięcioro

mundurowych, ktoś z wydziału młodzieżowo-rodzinnego, trzech detektywów z wydziału do spraw prostytutki oraz trzech z drugiego okręgu, w tym mój przyjaciel John Sampson.

Drugi okręg, Georgetown, nieczęsto odwiedzają ludzie z obyczajówki. Kamienica z białej cegły przy N Street, do której wkroczyliśmy, jedna z wielu podobnych w kwartale, była pewnie warta pięć milionów z górą. Wynajmowała ją podstawiona osoba i płaciła czynsz za pół roku z góry, jednak dokumenty prowadziły do właściciela, którym był doktor Elijah Creem, jeden z najbardziej wziętych chirurgów plastycznych w Waszyngtonie. Odkryliśmy, że za rzekome imprezy biznesowe płacił z lewych funduszy, a jego wspólnik w przekręcie, Josh Bergman, trudnił się dostawą landrynek.

Bergman był właścicielem Cap City Dolls, legalnie działającej agencji modelek z biurem przy M Street. Głośne plotki mówiły o tym, że firma ma podziemną filię parającą się handlem żywym towarem. Detektywi z obyczajówki byli niemal pewni, że Bergman jedną ręką kieruje legalnym biznesem, drugą zaś podsyla klientom egzotyczne tancerki, dziewczyny do towarzystwa na jedną noc, masażystki oraz obdarzone „talentem” aktorki filmów porno. Na pierwszy rzut oka wyglądało, że takie właśnie „talenty” zapełniały lokal, osiemnastoletnie i młodsze. Z naciskiem na młodsze.

Nie mogłem się doczekać, kiedy dorwiemy w swoje łapy tych dwóch gnojów.

Patrol obserwacyjny ustalił, że tego wieczoru około dziewiętnastej Creem i Bergman przebywali w Minibarze w centrum, a od wpół do dziesiątej w tym domu uciech. Teraz pozostawało nam ich jedynie wykurzyć.

W głębi, za oddzielnym przedsionkiem, impreza trwała

w najlepsze. Hol i salon były zapełnione. Wśród zabytkowych mebli, na podłogach pokrytych parkietem podskakiwali w rytm muzyki młodzi, do połowy roznegliżowani ludzie, popijając drinki z plastikowych kubków.

– Zbierz wszystkich we frontowym pomieszczeniu! – krzyknął Sampson do jednego z mundurowych. – Mamy pełny nakaz, więc zacznijcie szperać. Szukamy prochów, gotówki, ksiąg rachunkowych, notesów z adresami, telefonów komórkowych, wszystkiego. I wyłączcie tę cholerną muzykę!

Połowa naszej ekipy została, by zabezpieczyć frontową część domu, reszta zaś ruszyła w głąb; tam także trwała zabawa.

W połączonej z salonem kuchni, obok wyspy z marmurowym blatem, na potęgę grano w rozbieranego pokera. Szczęściu dobrze umięśnionych mężczyzn i dwa razy tyle dziewcząt w białym biurowym stało z kartami w dłoniach, racząc się drinkami i podając sobie skręty.

Na nasz widok się zakotłowało. Kilka dziewczyn krzyknęło i chciało się wymknąć, ale zdążyliśmy odciąć im drogę.

Ktoś wreszcie wyłączył muzykę.

– Gdzie są Elijah Creem i Joshua Bergman? – zapytał Sampson. – Pierwszy, kto odpowie mi poprawnie na to pytanie, będzie mógł spokojnie stąd wyjść.

Chuda dziewczyna w czarnym koronkowym staniku i obciętych džinsach wskazała w stronę schodów. Po wielkości jej biustu w stosunku do reszty ciała oceniłem, że już co najmniej raz zaznała noża doktora Creema.

– Tam – rzuciła.

– Zdzira – mruknął ktoś pod nosem.

Sampson skinął na mnie zakrzywionym palcem i ruszyliśmy

na górę.

– Mogę już iść?! – zawołała dziewczyna.

– Sprawdzimy twoje słowa – odrzekł Sampson.

Kiedy dotarliśmy do holu na piętrze, nikogo tam nie było. Jedyne oświetlenie zapewniała elektryczna lampka żeglarska stojąca na połyskliwym zabytkowym stoliku przy schodach. Na ścianach wisiały portrety jeźdźców konnych, a podłogę przykrywał długi orientalny chodnik sięgający aż do zamkniętych podwójnych drzwi po przeciwnej stronie domu. Nawet z tego miejsca słyszałem dudniącą tam muzykę. Był to stary kawałek Talking Heads, *Burning Down the House*.

Uważaj, bo możesz znaleźć, czego szukasz.

Odlotowe kociaki, dziwne, lecz nie obce.

Usłyszałem również dwa męskie głosy.

„O właśnie, skarbie. Ciut bliżej. A teraz ściągnij jej majtki”.

„Tak, to się nazywa odkrywać skarb”.

Sampson spojrzał na mnie, jakby zachciało mu się rzygać. Albo kogoś ukatrupić.

– No to do roboty – powiedział i ruszyliśmy korytarzem.

2

– Policja! Wchodzimy!

Grzmiący okrzyk Sampsona zagłuszył wszystko. Mój kumpel rąbnął pięścią w mahoniowe drzwi – tak pewnie, według niego, wyglądało grzeczne pukanie – po czym mocno je pchnął.

Elijah Creem stał tuż za nimi i wyglądał co do joty jak na zdjęciach, które widziałem: gładko zaczesane do tyłu włosy, kwadratowa broda z przedziałkiem, perfekcyjny garnitur zębów ze sztucznym szkliwem.

On i Bergman byli całkowicie ubrani, ale pozostała trójka już nie. Bergman trzymał przed sobą iPhone'a i filmował dziwaczny trójkąt, który odgrywał swoją scenkę na olbrzymim łóżku z ozdobnym wezglowiem.

Jedna dziewczyna leżała płasko z rozpiętym stanikiem i jasnoczerwonymi stringami ściągniętymi do kostek. Miała także na sobie przezroczystą maskę tlenową, która była przywiązana do wysokiego, szarego metalowego zbiornika obok łóżka. Leżący na niej chłopak był całkiem goły, jeśli nie liczyć czarnej opaski na oczach. Druga dziewczyna stała

nad nim z małą kamerą cyfrową i nagrywała scenę.

– Co tu się dzieje, do cholery? – rzucił Creem.

– O to samo chciałem zapytać – odparłem. – Nikt się nie rusza.

Wszyscy gapili się na nas, z wyjątkiem dziewczyny w masce. Ta sprawiała wrażenie nieobecnej.

– Co jest w tej butli? – spytałem, kiedy Sampson do niej podszedł.

– To tylko podtlenek azotu – odrzekł Creem. – Spokojnie, nic jej nie będzie.

– Wal się – burknął John i zdjął dziewczynie maskę.

Oszołomienie podtlenkiem azotu trwa dość krótko, ale nawet przez sekundę nie myślałem, że jest to jedyny środek, który wzięły te dzieciaki. Na nocnym stoliku walało się kilka niebieskich tabletek; domyśliłem się, że to ecstazy. Było tam również parę małych brązowych szklanych buteleczek, prawdopodobnie z azotynem amylu, oraz do połowy opróżniona butelka tequili Cuervo Reserva.

– Proszę mnie posłuchać – odezwał się Creem, patrząc mi prosto w oczy. Wyglądało na to, że on tu rządzi. – Widzi pan tę walizeczkę, tam w rogu?

– Elijah, co ty kombinujesz? – odezwał się Bergman, lecz Creem nie odpowiedział. Wciąż patrzył na mnie, jakby w pomieszczeniu nikogo więcej nie było.

– Jest w niej trzydzieści tysięcy dolarów. – Znacząco przeniósł wzrok z aktówki stojącej na zabytkowym sekretarzyku na jedno z trzech okien. Wszystkie zasłony z frędzlami były zaciągnięte, lecz nie miałem wątpliwości, co mu chodzi po głowie. – Ile czasu, pana zdaniem, można kupić za trzydzieści tysięcy dolarów? – Facet okazywał

niewiarygodny spokój. Oraz arogancję. Chyba naprawdę myślał, że na to pójdę.

– Nie wygląda mi pan na jednego z tych, co pryskają przez okno, Creem – odparłem.

– W zasadzie nie, ale jeśli wie pan, kim jestem, rozumie pan, że stawka jest dla mnie dość wysoka. Rodzina, praktyka lekarska...

– Tylko w ubiegłym roku sześć i pół miliona dochodu – wpadłem mu w słowo. – Tak wynika z naszych danych.

– No i moja reputacja, rzecz jasna, która jest w tym mieście bezcenna. A więc jak będzie, detektywie? Umowa stoi?

Myślamy był już prawie za oknem. Ten gość przywykł, że dostaje to, czego sobie zażyczy. Ja jednak nie byłem siedemnastolatka, która ma problemy z określeniem własnej tożsamości.

– Zdaje się, że mój kolega wyraził to najlepiej – odparłem.
– Jak powiedziałeś, John?

– Pierdol się, czy coś w tym rodzaju – odrzekł Sampson.
– Ile lat mają te szczeniaki, Creem?

Po raz pierwszy wyniosła maska doktora zaczęła pękać. Głupawy uśmiezek rozplynał się, gałki oczne poruszyły się szybciej.

– Proszę. Gotówki jest więcej, o wiele więcej. Na pewno się dogadamy.

Ale nie miałem ochoty go dłużej słuchać.

– Ma pan prawo zachować milczenie...

– Nie chcę błagać.

– A więc proszę tego nie robić. Wszystko, co pan powie, może być i zostanie wykorzystane przeciwko panu...

– Na litość boską, zrujnujcie mnie! Zdaje pan sobie z tego sprawę?

Jego narcystyczne ego wręcz porażało. A jeszcze bardziej porażało to, że nie zdawał sobie sprawy, jakich czynów się dopuścił.

– Nie, doktorze Creem – powiedziałem, podchodząc do niego z tyłu i zakładając mu kajdanki. – Sam pan to zrobił.

3

Dwa miesiące po tym, jak skandal z udziałem Elijaha Creema eksplodował na czołówkach gazet, jego bohater gotów był do zmiany postawy. I to dużej. Wprost nie do wiary, ile można zdziałać, mając trochę czasu, dobrego prawnika i masę gotówki.

Jeszcze się do końca nie wykaraskał, a gotówka musiała się kiedyś wyczerpać. Zwłaszcza jeśli Miranda miała w tej kwestii coś do powiedzenia. Porozumiewała się z nim teraz wyłącznie przez adwokata; nie miał także prawa widywać się z Chloe i Justine. Przyszła była pani Creem wysłała je do swoich rodziców w Newport. Adwokat twierdził, że właśnie tam obie skończą szkołę.

Milczenie dziewcząt brzmiało ogłuszająco. Wszystkie trzy blond piękności doktora, Miranda, Justine i Chloe, odwróciły się od niego i trzasnęły drzwiami.

Jeśli zaś chodzi o praktykę medyczną, to od czasu, gdy w prasie podano, że doktor Creem (co podlejsze szmatławce przekreśliły nazwisko na Creep*) od niektórych nieletnich

* *Creep* (ang.) – kreatura.

protegowanych Joshui Bergmana pobierał zapłatę w formie usług seksualnych, nie zgłosił się do niego nikt ani na konsultację, ani tym bardziej na zabieg. Niewielka kolekcja nagrań wideo, którą zgromadził na domowym komputerze, obciążała go na tyle, że w razie procesu sądowego istniało bardzo realne zagrożenie, że wyląduje w pudle.

Elijah Creem jednak ani myślał do tego dopuścić. Jak brzmi to stare oklepane powiedzonko? Dziś jest pierwszy dzień reszty twojego życia.

O tak! Elijah zamierzał postąpić zgodnie z tą maksymą.

– Nie mogę iść do więzienia – powiedział mu przez telefon Josuha. – Nie to, że nie chcę. Mam na myśli to, że nie mogę. Wydaje mi się, że nie dałbym tam sobie rady.

Creem zakrył dłonią słuchawkę Bluetooth w uchu, by lepiej słyszeć oraz nie zostać podsłuchanym przez przechodniów na M Street.

– Poradziłyś sobie lepiej niż ja, żeby to trafiło na ciebie, Joshua. Ty przynajmniej lubisz kutasy.

– Mówię poważnie, Elijah.

– Żartowałem, Josh. I wierz mi, nie uśmiecha mi się to bardziej niż tobie. I dlatego nie dopuścimy, by do tego doszło.

– Gdzie ty w ogóle jesteś? – chciał wiedzieć Josuha Bergman. – Twój głos jakoś dziwnie brzmi.

– To maska – odparł Creem.

– Maską?

– Tak. Właśnie to usiłowałem ci powiedzieć. Nastąpiła zmiana planów.

Maska uformowana ze skomplikowanego lateksowego kompozytu łączyła w sobie cechy wielu ludzkich twarzy. Najnowszy gadżet. Creem eksperymentował z nią od czasu,

gdy wybuchł skandal, a jego sławne oblicze stało się dla niego obciążeniem. Przechodząc obok tafli szkła, za którą mieściła się siedziba firmy Design Within Reach, z trudem sam siebie rozpoznawał. Widział jedynie szpetnego starucha: szara skóra, zapadnięte policzki, nędzna resztką suchych srebrnych włosów na skórze czaszki pokrytej plamami wątrobowymi. Doprawdy spektakularny efekt. Można było się w nim doszukać czegoś poetyckiego. Odbicie starca w szybie przypominało ludzką ruinę, i tak doktor Creem czuł się ostatnio.

Okulary z ciemnymi oprawkami zasłaniały otwory wokół oczu. I choć miał nieprzyjemne wrażenie skrępowania ust, dopasowana maska pozwalała mówić, pić, jeść, robić właściwie wszystko.

– Nie chciałem ci tego ujawniać, dopóki nie byłem pewny, że się powiedzie – ciągnął – ale mam dla ciebie niespodziankę.

– Co? Jaką niespodziankę? – zaciekawiał się Bergman.

– Pamiętasz Fort Lauderdale?

Nastąpiła długa pauza, po której padła cicha odpowiedź:

– No pewnie.

– Początek wiosny tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego.

– Przecież mówię, że pamiętam – burknął Bergman, lecz po chwili jego głos znowu złagodniał. – Byliśmy wtedy niemowlakami.

– Wiem, minęło dużo czasu. Sporo o tym myślałem i nie zamierzam zapaść się w mrok po cichu. A ty?

– Boże drogi, nie. Ale to przecież ty sam...

– Wiem, co powiedziałem. To było dawno, a teraz jest teraz.

Creem usłyszał, jak przyjaciel bierze długi powolny oddech.

– O Jezu, Elijah. Naprawdę? – W głosie Bergmana dał się słyszeć strach, lecz więcej niż strachu było w nim ekscytacji. Poza lęklivością cechowała go jeszcze inna, osobiwa skłonność. Morderstwa zawsze podniecały go bardziej niż Creema.

Ten drugi widział w nich przede wszystkim katharsis. Stanowiły środek do osiągnięcia celu. Ale tym razem chodziło mu po głowie coś zupełnie nowego.

– A więc... to się zdarzy naprawdę? – dociekał Bergman.

– Owszem, zrobię to – potwierdził Creem.

– Kiedy?

– Zaraz, w tej chwili. Czekam na nią, aż wyjdzie.

– Mogę posłuchać?

– Naturalnie – powiedział Creem. – Jak myślisz, dlaczego zadzwoniłem? Ale dość gadania. Oto i ona.

4

Creem ustawił się po drugiej stronie ulicy naprzeciwko ośrodka Down Dog Yoga; budynek właśnie opuszczała grupa, która rozpoczęła wieczorne zajęcia o dziewiętnastej czterdzieści pięć. Jako jedna z pierwszych na Potomac Street wyszła Darcy Vickers, wysoka, zgrabna blondynka.

Wzrost i jasny kolor włosów Darcy nie były jego zasługą, lecz perfekcyjne proporcje części ciała zawdzięczała właśnie jemu. Bujne piersi, doskonała symetria brwi i ust, a także kształt szczupłych ud – wszystkie te elementy jej urody należały do najlepszych osiągnięć doktora Creema.

Nigdy nie okazała mu za to ani odrobiny wdzięczności, o nie. W mniemaniu Darcy Vickers świat zapełniali jej lokaje. Stanowiła w gruncie rzeczy typowy okaz lobbytki z K Street, obdarzonej ipsis męskim poczuciem uprzywilejowania i rozpaczliwą potrzebą zachowania urody najdłużej jak to możliwe.

Znał to wszystko na pamięć. Tak jakby widział na własnym domowym podwórku.

Czekał przed lokalem Dean & DeLuca, ona zaś pędziła, by

posilić się tym, co kobiety jej pokroju raczą jadać w dzisiejszych czasach. Obserwował, jak stoi w kolejce do kasy, rozmawiając przez komórkę i na nic nie zwracając uwagi. Następnie przekroczył ulicę i ruszył pokrytą staroświeckimi kocimi łbami alejką ku garażowi, w którym stało zaparkowane bmw Darcy.

Nie musiał zachowywać dużej odległości. Prezentował się jak pierwszy lepszy dziadyga w wiatrówce i butach ortopedycznych, prawie niewidzialny dla takiej damy jak Darcy Vickers. Zanim dotarli na opustoszały trzeci poziom garażu, zmniejszył dystans do jakichś sześciu metrów.

Darcy wcisnęła guzik pilota, który trzymała w ręce, i drzwi otworzyły się z miękkim stuknięciem. W tej samej chwili Creem przystąpił do działania.

– Przepraszam... Miranda? – zagadnął nieco zaleźnionym głosem.

– Niestety nie. – Darcy wrzuciła do bagażnika torbę na zakupy i fioletową matę do ćwiczeń. Nawet na niego nie zerknęła.

– Dziwne, bo taka pani podobna. – Nie zareagowała, więc postąpił o krok, przekraczając niedostrzegalną granicę przestrzeni osobistej. – Właściwie prawie taka sama.

Gdy odwróciła się, na jej twarzy, mimo botoksu, pojawił się wyraz rozdrażnienia.

– Słuchaj pan, nie chcę być niegrzeczna...

– Ależ ty nigdy nie jesteś niegrzeczna, Mirando.

Kiedy znalazł się tuż obok, uniosła rękę, by go odepchnąć, ale doktor Creem miał więcej siły niż staruszek, na jakiego wyglądał. I więcej niż Darcy Vickers. Palce jego prawej dłoni zacisnęły się na jej nadgarstku. Lewa zatkała usta, gdy

kobieta usiłowała krzyknąć.

– To ja, skarbenku – szepnął. – Twój mąż. I nie obawiaj się, wszystko jest wybaczone.

Zamilkł na krótką chwilę, by ujrzyć zaskoczenie w jej oczach, a potem wbił w jej brzuch nóż do steków. Milej byłoby użyć skalpela, lecz na razie musiał się powstrzymać od stosowania profesjonalnych narzędzi.

Całe powietrze uleciało z płuc Darcy Vickers; upadła do przodu, zginając się w pół. Wyjęcie noża kosztowało doktora nieco wysiłku, lecz po chwili ostrze wyszło.

Podciął ofiarę szybkim kopnięciem w kostki, dźwignął ją i wpakował do bagażnika. Nawet się nie szamotoła. Rozległo się parę gulgoczących dźwięków, zakrztusiła się i próbowała złapać oddech.

Nachylił się, by odgłosy za pośrednictwem telefonu dotarły do uszu Bergmana. Potem zadał drugie pchnięcie, tym razem w klatkę piersiową. A następnie jeszcze jedno w tętnicę udową, tak by przekreślić wszelkie szanse ratunku.

Ujął w dłonie blond włosy i szybko oderznął je ząbkowaną krawędzią noża. Potem chwycił jeszcze raz i spod nierównych kęp wyrzwała skóra głowy. Jedną garść włosów zachował dla siebie i włożył do torby, a resztę zostawił rozrzucone wokół ciała.

Zginęła tak samo paskudnie, jak żyła. A doktor Creem niemal od razu poczuł się lepiej.

Dokonawszy dzieła, zamknął bagażnik i odszedł. Najbliższymi schodami skierował się ku M Street. Nie odezwał się, dopóki nie oddalił się od garażu i nie znalazł na chodniku.

– Joshua, jesteś tam?

Bergman odpowiedział dopiero po paru sekundach.

– Tak, jestem... – Jego głos był przerywany, ledwie głośniejszy od szeptu.

– Czy ty... – Creem uśmiechnął się, choć odczuwał lekkie zniesmaczenie. – Joshua, czy ty się onanizujesz?

– Nie – zaprzeczył ciut za szybko jego przyjaciel. Należało mu oddać, że miał coś w rodzaju poczucia skromności zaprawionego ironią. – Załatwione? – spytał.

– Podpisane, zapieczętowane i doręczone – oznajmił Creem. – A ty wiesz, co to oznacza.

– Tak – potwierdził Bergman.

– Twój ruch, stary koleżko. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę, co upichcisz.